



– 1 –

LARK

Ten płacz musi się skończyć, doktor Smith.

Larkby Christina Smith, lekarka (przynajmniej na razie), przełknęła ślinę i spojrzała na ordynatora oddziału onkologicznego w szpitalu Hyannis. Wytarła oczy jedną z chusteczek, które wcześniej przesunął na biurku w jej stornę. W szyby miarowo uderzał majowy deszcz.

– Wiem – szepnęła Lark, po czym odchrząknęła. – Przepraszam.

No i proszę. Jej głos brzmiał odrobinę mniej żałośnie.

W swoim gabinecie doktor Hanks każdego dnia przekazywał złe wiadomości. Zazwyczaj pacjentom, ale Lark podejrzewała, że dzisiaj ich adresatką będzie ona. Ton głosu miał stanowczy, lecz łagodny, oczy pełne życzliwości.

– Sęk w tym, Lark, że z czasem nie będzie coraz łatwiej. W żadnym razie. Onkologia nie jest dla wszystkich.

Użył jej imienia, a nie nazwiska. Nie wróżyło to dobrze.

– Wiem, że czułaś się związana z pacjentem – dodał.

Lark daremnie próbowała zdusić szloch. Zastłoniła dłonią oczy.

– Po prostu... ma pan rację. Rzeczywiście połączyła nas więź.

Z jej oczu oczu nadal płynęły zdradzieckie łzy.

Przed trzema godzinami ulubiony pacjent Lark, Charles Engels, zmarł po ośmiomiesięcznej walce z rakiem trzustki. I owszem, możliwe, że (na pewno) pozwoliła, aby górę wzięły emocje. No bo jak mogło być inaczej? Charlie – nalegał, aby tak go nazywała – był taki wspaniały, taki zabawny, serdeczny i pełen optymizmu. Miał zaledwie sześćdziesiąt cztery lata... tyle samo, ile jej tata. Przez te trzy ostatnie straszne dni, kiedy Charlie na przemian odzyskiwał i tracił przytomność, przy jego boku czuwała żona. W ostatni dzień pani Engels (Patty) położyła się do łóżka obok męża i choć Charlie ledwie już żył, objął ją ramieniem. Byli tam ich trzech płaczący cicho synowie, dzień wcześniej zaś odwiedziły go wnuki. Lark była obecna przy ostatnim oddechu Charliego, a kiedy pani Engels zanosła się płaczem, cóż... Lark także. Nie miała takiego zamiaru. To po prostu... wymknęło się jej.

– Doktor Smith. Proszę wziąć się w garść.

Doktor Hanks splótł przed sobą dłonie i wbił w nią stanowczy wzrok.

– Przepraszam – bąknęła i wydmuchała nos.

Boże. W wieku trzydziestu trzech lat powinna lepiej kontrolować swoje emocje.

– Bycie współczującym to jedno. Czymś zupełnie innym jest, kiedy to wdowa pociesza ciebie, Lark.

Na te słowa się skrzywiła.

– Oni, hm... byli dla mnie jak rodzina. Charlie... to znaczy, pacjent powiedział mi, że żałuje, że nie jestem jego córką. – Zdusiła kolejny szloch.

– Ale nią nie jesteś. – Głos doktora Hanksa przybrał nieco twardszy ton. – I choć pochwalam twoje zaangażowanie w pracę, to była ich strata, nie twoja.

– Ma pan rację.

Będzie jej brakowało Charliego. Był taki pogodny, nawet kiedy bardzo cierpiał, i odwiedzała go, kiedy tylko mogła. A jeśli leżał akurat na oddziale, to nawet po długim dniu pracy zaglądała do niego, trzymała za rękę, a raz nawet mu śpiewała.

Ordynator westchnął.

– Nie może być tak, że rozsypujesz się za każdym razem, kiedy umiera pacjent. To jest onkologia. Tracimy pacjentów. Musimy zaprzyjaźnić się ze śmiercią, choćby na jakimś poziomie.

Lark pokiwała głową i wydmuchała nos.

– Zamierzam cię przenieść na SOR – oświadczył jej przełożony, na co Lark aż podskoczyła.

– Nie! Proszę, doktorze Hanks! Jakoś się ogarnę. Obiecuję. Odchylił się na krzesło i zmrużył oczy.

– Łada chwila przyjmie na chemioterapię paliatywną trzydziestodwuletnią w czwartym stadium raka piersi z przerzutami do wątroby i mózgu.

Spojrzał na Lark i czekał.

Próbowała zachować niewzruszoną twarz. Poczuła, że jej usta drżą, i starała się nie mrugać, żeby z oczu nie popłynęły łzy. Wstrzymała nawet oddech. Kiwnęła głową w sposób, który – miała nadzieję – jest zarazem rzeczowy, pełen współczucia i profesjonalny.

– Rozumiem. – Jej głos był napięty, ale nie zduszony.

„Dobra robota, Lark” – pomyślała.

– Trójka dzieci. Dziesięć, sześć i trzy lata. Dowiedziała się, że ma raka, kiedy nie była w stanie karmić piersią ostatniego z nich.

– O Boże! To takie niesprawiedliwe!

„No i to tyle, jeśli chodzi o opanowanie” – pomyślała Lark, trzęsąc się od płaczu. Jej siostrzenica miała trzy lata. A gdyby to Imogen straciła Addie? A gdyby to ona, Lark, straciła Addie, swoją bliźniaczkę?

– No i znowu płacz – westchnął doktor Hanks. – Zadzwoń do ordynatora Szpitalnego Oddziału Ratunkowego i nadam tej sprawie oficjalny bieg. To dobrze ci zrobi. Naprawić ich i odesłać, bez szansy na zbytne przywiązanie.

– Zaraz. Chwileczkę. A jeśli się poprawię? – Wzięła głęboki oddech i starała się wlać do głosu więcej pewności siebie. – Ten oddział był moim przeznaczeniem, doktorze. Zna pan moją przeszłość. Proszę dać mi szansę, żebym się wykazała.

Doktor Hanks westchnął w sposób, który wyraźnie mówił: „czy możemy zakończyć tę rozmowę?”.

– Niczego nie wykluczam. Porozmawiamy o tym za parę miesięcy, co ty na to? Weź kilka dni wolnego i powodzenia.

Rezydenci z oddziału onkologicznego wyściskali ją, oświadczyli, że ma dobre serce, jest świetnym lekarzem i w ogóle. Trochę to pomogło. Ale wszyscy mieli świadomość, że odchodzi, ponieważ nie daje rady. A walka z rakiem miała być celem jej życia.

Od razu po wyjściu ze szpitala zrobiła to, co zawsze w chwilach kryzysu – zadzwoniła do swojej bliźniaczki.

– Co się stało? – zapytała Addison, nim Lark zaczęła mówić.

To było dla nich typowe – do komunikacji nie zawsze potrzebowały słów.

– Wyrzucono mnie z onkologii i przeniesiono na SOR – powiedziała.

– Auć. Degradacja.

Lark się skrzywiła, słysząc to jakże precyzyjne określenie.
– No.

Nie znaczy to oczywiście, że medycyna ratunkowa była dla ludzi głupich. Ale onkologia wymagała dłuższego czasu szkolenia. Spędzałaś z pacjentami więcej czasu, poznawałaś ich, pomagałaś przejść przez najgorszy okres w ich życiu i przy odrobinie szczęścia doprowadzałaś do ich wyleczenia. Do tego jeszcze kwestia powołania. Jej planem była praca tutaj, na Cape, jako onkolożka, przyjmowanie pacjentów do Dana-Farber Cancer Institute w Bostonie, zaledwie półtorej godziny jazdy samochodem stąd. Wyobrażała sobie, że jej pacjenci będą ją uwielbiać za inteligencję, współczucie i zaangażowanie. Za, hm, opanowanie w chwilach stresu.

Jej oczy ponownie wypełniły się łzami.

– Zbyt dużo płakałaś, prawda? – zapytała Addie.

– Yhy.

Od zawsze miała oczy w mokrym miejscu. Kiedy trzydzieści trzy lata temu ich jajeczko się podzieliło, to Addie przypadły w udziale geny twardzielki. Urodziła Imogen po dwudziestu siedmiu godzinach bolesnego porodu i bez odrobiny znieczulenia. Lark wiedziała o tym, ponieważ znajdowała się wtedy po jednej stronie łóżka, a żona Addie, Nicole, po drugiej. To był jeden z najlepszych dni w jej życiu. Oczywiście towarzyszyło mu mnóstwo łez, ale to akurat były łzy szczęścia.

Ale jeśli Addie trafiły się geny twardzielki, to Lark te odpowiedzialne za inteligencję. Podobnie jak ich starsza siostra Harlow ukończyła liceum Nauset jako najlepsza z rocznika. Najpierw studiowała na Uniwersytecie Bostońskim, następnie przeniosła się na Tufts, gdzie wydział medyczny ukończyła jako jedna z najlepszych.

– Cóż – rzekła Addison. – To nic nie znaczy. – Lark słyszała, jak jej siostra stuka w klawiaturę. – Możesz jeszcze wrócić na onkologię. Właśnie to sprawdziłam.

– Ale moje szanse na to rzuciły się właśnie z klifu.

– Postaraj się za dużo tego nie analizować, Larkby. – Jako jedna z niewielu osób używała jej pełnego imienia. – SOR cię zahartuje. Będiesz tam oglądać przeróżne amputacje, zmiażdżone kończyny i rany postrzałowe, no nie?

– Bardziej przedawkowania i ugryzienia kleszczy.

– To nie ma znaczenia. Jesteś niesamowita. Robisz już doktorat. Ostatecznie wszystko się ułoży.

– Dzięki, Addie.

Lark lekko się uśmiechnęła. Fakt, że siostra tak w nią wierzyła, zawsze dodawał jej otuchy.

– Muszę lecieć. W każdej chwili może przyjechać autobus Esme.

Esme to jej starsza córka i biologiczne dziecko jej żony. Ten sam dawca spermy, tak że dziewczynki były przyrodzonymi siostrami.

– Przyślij mi jakieś ich zdjęcie, okej? Kocham cię.

Rozłączyła się, odczekała pięć sekund i z uśmiechem zobaczyła, że zdjęcie już dotarło. Addie zawsze dysponowała aktualnymi fotkami dziewczynek, jako że była jedną z tych mam, które udzielają się na Instagramie i TikToku co najmniej trzy razy na dzień. Wyłącznie dlatego Lark nie skasowała jeszcze swoich kont w mediach społecznościowych – aby oglądać siostrzenice. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz sama wstawiła jakiś post. Na pewno jednak nie w ciągu minionych siedmiu lat.

Zdjęcie od Addie przedstawiało trzyletnią Imogen całą ubraną na beżowo. Miała jasne, błyszczące włosy, takie same

zielone oczy, jak Lark i Addie, takie same jasne rzęsy. Serce Lark radośnie się ścisnęło. Przynajmniej część narzuconego jej urlopu mogła spędzić z siostrzenicami, a coś takiego zawsze poprawiało jej nastrój.

Jej telefon ponownie zawibrował – wiadomość ze szpitala z prośbą o oddzwonienie. Pewnie czekała ją jakaś papierkowa robota, bo czymże bez niej byłaby medycyna? Posłusznie zadzwoniła na podany numer.

– Cześć, Vanesso, z tej strony Lark Smith – powiedziała do recepcjonistki, kiedy rozpoznała jej głos.

Mówienie o sobie doktor Smith nadal wydawało się dziwne. Oficjalny tytuł miała dopiero od dwóch lat.

– Hej, kotku. Pilna wiadomość od doktora Santiniego – rzekła Vanessa. – Masz zadzwonić do niego najszybciej, jak to możliwe.

– Doktora Santiniego? Chirurga? – zapytała z lekkim niepokojem. – Może źle spojrziałaś na numer?

– Ja tylko przekazuję wiadomość, kotku.

– Okej. Nie mówił, o co chodzi?

– Warknął jedynie twoje imię i nazwisko i powiedział, że masz do niego zadzwonić.

– I na pewno chodziło o Lark Smith? Nie Odell Smith? – Proszę, Boże, niech to będzie Odell.

– Chodziło o ciebie, mała. Przykro mi.

Vanessa wyrecytowała numer, który Lark wpisała sobie do telefonu.

– Dzięki, Vanesso. Pozdrów swojego przystojnego męża.

– Dobrze, kotku, pozdrowię.

Lark słyszała w jej głosie uśmiech.

Doktor Santini. To przypuszczalnie pomyłka. To był mężczyzna, którego nienawidzono, bano się go i podziwiano – to

ostatnie za jego umiejętności na sali operacyjnej. Poza nią był nazywany doktorem Szatanem. Nie potrafiła sobie wyobrazić, czego mógłby chcieć od zwyczajnej (do tego nieco skompromitowanej) rezydentki. Kontakt miała z nim wyłącznie podczas tych nieprzyjemnych tygodni stażu na chirurgii, kiedy to próbowała wtopić się w tło. Lark nie знаła nawet jego imienia. Choć nie miał raczej więcej niż czterdzieści lat, zdecydowanie był starej daty i nauczał za pomocą strachu, poniżania i szyderstw. Przekonała się o tym na własnej skórze.

Na szczęście w szpitalu Hyannis pracował tylko dorywco, głównie praktykując w cieszących się świetną renomą szpitalach Mass General Brigham, Dana-Farber, Beth Israel. Nie dość, że był wyjątkowo uzdolniony, to wynalazł także urządzenie, które natleniało organy podczas transportu, dzięki czemu zwiększały się szanse na pomyślny przeszczep. Krążyły plotki, że uczyniło go to bajecznie bogatym. Lark widziała go raz na parkingu, jak wysiadał z maserati, ale schowała się za SUV-em, by nie zwracać na siebie uwagi. Z wyjątkiem pacjentów nikt nie miał ochoty na uwagę ze strony doktora Santiniego.

Podczas stażu na chirurgii niestety trochę jej doświadczyła. Boski Santini zgodził się robić obchód z nimi, zwykłymi rezydentami! Było to jednocześnie przerażające i ekscytujące. „Santini! Uczący nas! Dacie wiarę?”. Oraz: „Bądźcie czujni. Nie odzywajcie się, o ile się do was nie zwróci. Nie róbcie z siebie idiotów. Takich jak my zjada jako przekąskę przed snem”.

Lark stała się taką przekąską. Podczas obchodu tamtego feralnego dnia warknęła:

– Jaką jednostkę chorobową należy podejrzewać w przypadku szczelin odbytu poza godziną szóstą i dwunastą?

Bez powodu. Ot, kaprys. Podchwytliwe pytanie.

Słyszając słowa „szczeliny odbytu”, jeden z jej kolegów parsknął śmiechem. Na nieszczęście stał zaraz obok Lark, która poczerwieniała ze strachu, kiedy doktor Santini odwrócił się w ich stronę. Jego spojrzenie zatrzymało się na niej, ona zaś przełknęła ślinę.

– Uważa to pani za zabawne? – warknął. – Uważa pani, że czyjś ból jest zabawny, doktor... – Spojrzał na jej identyfikator. – Smith?

– Nie, panie doktorze – odparła niemal szeptem. Nie zносиła konfrontacji z rozgniewanymi ludźmi, ale nie miała zamiaru wsypać Tomasza. – W żadnym razie.

– W takim razie proszę odpowiedzieć na pytanie.

Do tego czasu zdążyła już zapomnieć, jak ono brzmiało. Nie dość, że nie spała od trzydziestu dwóch godzin, to jeszcze strach odbierał jej zwykle zdolność myślenia.

– Czy mógłby je pan powtórzyć?

Głos jej drżał. Pozostali rezydenci, łącznie z Tomaszem, odsunęli się od niej. Żaden nie nawiązał kontaktu wzrokowego.

– Nie! Czy według pani mam czas na powtarzanie? Niech odpowie ktoś inny.

– Choroba Crohna – odezwała się Lacey, nigeryjska studentka z pamięcią fotograficzną. Rzuciła Lark przepraszające spojrzenie.

– Choroba Crohna, doktor Smith! Szczeliny odbytu poza godziną dwunastą i szóstą wskazują na Crohna albo inną chorobę współistniejącą. Doktor Smith, proszę wymienić co najmniej trzy inne choroby, mogące się objawiać szczelinami odbytu w miejscach innych niż godzina szósta i dwunasta!

Zdecydowanie lubił używać określenia „szczeliny odbytu”.

– Wrzodziejące zapalenie jelita grubego i poród? – bąknęła. Zgromił ją wzrokiem.

– Jeszcze dwie i proszę mówić jak lekarz, a nie wystraszona szóstoklasistka.

– Rak jelita grubego i... um... HIV.

Odwrócił się i poszedł do następnego pacjenta, pięcioro rezydentów zaś udało się za nim jak rój wylęknionych pszczoł. Bogu dzięki to był jedyny raz, kiedy doktor Santini odezwał się do niej, ponieważ była prostaczką, która nie chciała zostać chirurgiem.

Nie miała pojęcia, czego teraz mógł od niej chcieć. Wybrała jego numer i od razu się włączyła poczta głosowa. „Doktor Santini. Proszę zostawić wiadomość”.

– Um, witam. Z tej strony Lark Smith. Doktor Smith? Um... prosił mnie pan, abym do pana zadzwoniła. No więc dzwonię. Okej. Cóż. Miłego dnia!

Cholera. Powinna zaplanować, co powie.

Może dzwonił, ponieważ dowiedział się o śmierci Charliego Engelsa. Dwa lata temu przeprowadził u niego operację Whipple’a, która z całą pewnością przedłużyła mu życie. Była to jedna z najbardziej skomplikowanych operacji, polegająca na usunięciu głowy trzustki, przewodu żółciowego, pęcherzyka żółciowego i części jelita cienkiego, następnie rekonstrukcji przewodu pokarmowego. Często dochodziło do powikłań pooperacyjnych. Ale doktor Santini, pomimo osobowości zdziczałego knura, wykonał kawał dobrej roboty i rekonwalescencja Charliego przebiegła bez komplikacji.

Ale dzwonenie do niej, ponieważ uznał, że jest jej smutno? Coś takiego nie było w jego stylu.

Chwilę później dostała wiadomość.

Spotkajmy się o 18.30 w Naked Oyster na Main Street.

Ściągnęła brwi.

Wydaje mi się, że mnie Pan z kimś pomylił – odpisała.

Nie. Proszę o punktualność. Oczywiście to ja płacę.

Zebrała się na odwagę i napisała:

Mogę wiedzieć, dlaczego chce się Pan ze mną spotkać?

Żadnej odpowiedzi. Ani trzech kropek wskazujących na to, że pisze do niej. Bóg nie musiał odpowiadać zwykłej rezydentce.

Była teraz za kwadrans szósta. Od Wellfleet, gdzie mieszkała, dzieliło ją czterdzieści pięć minut, nie wchodziło więc w grę pojechanie do domu, aby się przebrać. Dzisiaj miała na sobie typowy, skromny strój szpitalnej rezydentki – czarną spódnicę do kolan, białą koszulę i buty marki Naturalizer na płaskim obcasie, które według Addie były tak nudne, że doprowadziłyby zakonnice do łez. Zgodnie z obowiązującymi w szpitalu zasadami musiała mieć spięte włosy, kolczyki wyłącznie małe i zasłonięty ten jeden tatuaż, który miała. Innymi słowy, wyglądała, jakby zamierzała właśnie zapukać do drzwi, aby porozmawiać o Kościele Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich.

Nigdy dotąd nie była w Naked Oyster. Wyguglowała tę restaurację i zobaczyła, że jest bardzo elegancka. I droga, więc się cieszyła, że doktor Santini jasno określił, kto płaci.

Zaburczało jej w brzuchu, przypominając o tym, że ostatnio jadła baton energetyczny o piątej czterdzieści pięć rano.

Lark jechała ostrożnie. Jej stara honda hybryda, którą jeździła od czasu studiów, miała na liczniku czterysta trzydzieści cztery tysiące kilometrów i źle znosiła jazdę po wybojach czy nagłe zatrzymania się. Powinna kupić nowe auto, ale kochała tę hondę. Wiele z nią przeżyła. Musiała jednak wymienić wycieraczki, ponieważ przednia szyba cała była pomazana deszczem. Doskonała pogoda na drzemkę i poważne rozmyślanie. Żałowała, że nie jest teraz w domu, albo przynajmniej w drodze do niego, gdzie wślizgnęłaby się do wygodnego łóżka i może zgarnęłaby po drodze Connery'ego, cairn terriera, którego miała do spółki ze swoją gospodynią.

Po przyjeździe na miejsce przekonała się, że ta restauracja to niewielki lokal zaraz obok London Brewing Company, miejsca, w którym miała okazję być razem ze znajomymi ze szpitala. Dwie przecznice dalej znalazła miejsce parkingowe, sprawdziła, czy nie ma w samochodzie parasola (nie), po czym wzięła torebkę i pobiegła w deszczu.

– Nieźle pada – rzuciła do *maitre d'*, która się uśmiechnęła. – Strasznie deszczową mamy w tym roku wiosnę.

– Wiem coś o tym. Tyle padało, żegniły mi cebule tulipanów.

– O, nie! Uwielbiam tulipany. To moje ulubione kwiaty. Tak w ogóle to jestem Lark.

– Chloe. Miło cię poznać. Masz rezerwację?

– Um... może? Na nazwisko Santini? Jestem przed cza-sem.

Lark przygładziła włosy, które – jak wiedziała z doświadczenia – są przyklepane i pozbawione objętości. Jej najstarsze

i najmłodsze rodzeństwo było obdarzone cudnymi lokami; ona, Addison i Winnie miały włosy proste jak druty.

– Och... Doktor Santini? – zapytała Chloe i jej uśmiech przygasł.

Lark starała się nie skrzywić.

– Zgadza się.

– Cóż. Powodzenia.

Chloe wzięła do ręki karty dań i ruszyła w stronę małego stolika na końcu lokalu. Kiedy Lark poczuła zapach pieczywa, znowu zaburczało jej w brzuchu.

– Masz ochotę się czegoś napić, zanim się zjawi? – zapytała Chloe.

Brzmiało to raczej jak sugestia niż pytanie.

– Okej. – Ponownie przypomniało jej się upokorzenie związane ze szczelinami odbytu. – Jaki macie najdroższy koktajl?

Chloe się uśmiechnęła.

– Każę barmanowi przygotować ci coś wyjątkowego.

I znowu burczenie w brzuchu.

– Mogę prosić o trochę pieczywa? I może jeszcze przystawkę? – Zerknęła w menu. – Może ostrygi Oishi? Dobrze są?

– Przepyszne.

– To poproszę. – Uśmiechnęła się promiennie do Chloe, która odwzajemniła uśmiech.

– Tak w ogóle to masz bardzo ładne imię.

– Dzięki! Ty też. – Głośno zaburczało jej w brzuchu. – Tego oczywiście nie słyszałaś.

– Jasne, że nie – odparła z szerokim uśmiechem Chloe. – Niemniej powiem, aby wyjątkowo szybko przygotowano te ostrygi. – Jeszcze raz się uśmiechnęła i poszła w stronę baru.

Lark zanotowała sobie w myślach, aby przynieść jej tulipany. Joy, jej gospodyni, nie należała do osób szczególnie kochających przyrodę, ale dzięki poprzednim właścicielom dysponowała pięknym ogrodem. I zawsze mówiła, aby częstowała się jego owocami. Kiedy tylko miała czas, Lark tworzyła dwa bukiety: jeden dla Joy, a mniejszy do domku, który wynajmowała od niej. Jeśli się uda, podrzuci kwiaty tej miłej Chloe.

Addie często jej mówiła, że za bardzo się stara, aby ludzie ją lubili. To prawda, ale nie było w tym nic złego. Jej bliźniaczka wołałaby, aby Lark miała tylko ją. Ale Lark nie potrafiła się opanować. Dużo się uśmiechała. Według Addie za dużo. Jak na zawołanie uśmiechnęła się do starszego pana przy barze, który na nią patrzył. Uśmiech przecież nic nie kosztował.

Jako że Addie nie była w stanie zatrzymać wieści dla siebie, jej telefon zapełniał się pełnymi wsparcia wiadomościami od członków rodziny. Nie szkodzi. Później na nie odpisze. W tej chwili wróciła Chloe z tacą w ręce i postawiła przed nią przepiękny koktajl z gałązką rozmarynu i plastrem suszonej pomarańczy.

– Och, jaki ładny! – wykrzyknęła Lark, podczas gdy jej nowa znajoma stawiała na stoliku pieczywo i ostrygi.

– Muszę lecieć, Lark, ale miło było z tobą rozmawiać. Powodzenia z doktorem Santinim. – Zniżyła głos. – Jeśli chcesz wiedzieć, to mówimy na niego doktor Szatan.

– My też! To znaczy w szpitalu.

– Jesteś lekarką?

– Tak. Pracuję na sor-ze. – Uśmiech nieco jej zbladł.

– Jeśli będę kiedyś potrzebowała szwów, będę pytać o ciebie. – Chloe ponownie się uśmiechnęła, po czym zniknęła.

Lark pociągnęła długi łyk drinka. Och, psychota. Wódka, jakiś likier cytrusowy, może trochę cytryny, a na gorze piana z białka. Jak nic kosztował dwadzieścia dolarów. Wzięła kolejny łyk. Wart każdego centa, zwłaszcza tego od doktora Santiniego. Niemal natychmiast ten drink ją odprężył. Nie miała mocnej głowy, a na pusty żołądek alkohol działał tak, jakby dostała go dożylnie. Jeszcze jeden łyk.

A te ostrzygi! Takie świeże, z ożywczą nutką wasabi. Zjadła jedną, po czym wzięła ciepłą bułeczkę i posmarowała ją masłem. Niebo w gębie. Jeszcze jedna ostrzyga. Ta restauracja to takie przytulne miejsce. No i wygodne. Na zewnątrz było ciemno i mokro i naprawdę wspaniale siedzieć tutaj, odpoczywać, posilać się jak osoba dorosła, a nie wygłodniały szop pracz, a tak właśnie jadła większość rezydentów.

Mogła jeszcze wrócić na onkologię. Jeszcze się zahartuje. Ale w jaki sposób? Oglądając filmy dokumentalne o ludziach z chorobami śmiertelnymi? Skrzywiła się. Poprosi dziadka o radę. W końcu patrzył, jak babcia umierała powoli i spokojnie, a on przez cały ten czas trwał niewzruszony jak skała. Lark też ją oczywiście odwiedzała, ale pod koniec nie na wiele się przydała. Wszystko było w porządku, dopóki zajmowała się pracą – myciem babci, podawaniem jej morfiny, poprawianiem wásów tlenowych – kiedy jednak musiała myśleć o utracie ukochanej babci, kończyło się to płaczem w kącie.

Może hospicjum. Tak, hospicjum! Jego dyrektorka, Darlene, to wspaniała osoba, a Charlie spędził tam ostatnie dwa tygodnie. Może poprosiłaby ją o pomoc. To powinno stanowić doskonały pierwszy krok.

Zerknęła na zegarek (jego noszenie było obowiązkowe dla wszystkich lekarzy): szesnaście po szóstej. Lekko zdenerwowana wzięła kolejny łyk płynnej odwagi, dokończyła

ostrygi i posmarowała masłem drugą bułeczkę. Jeszcze jeden łyk i Lark zamknęła oczy. Boże, ależ było przyjemnie. Da im chwilę odpocząć, nim zjawi się doktor Szatan... eee... Santini. Mm. Wygodnie tu. Właściwie to wspaniale.

– Doktor Smith!

Lark drgnęła na dźwięk swojego nazwiska.

– Tak! Nie śpię! Tutaj jestem! Czego potrzeba?

Ach. No tak. Nie w szpitalu. Przyłożyła serwetkę do ust. Ślinienie potwierdzone bez wątpliwości. Cholera.

Naprzeciwko niej z rękami skrzyżowanymi na piersi i ponurą miną siedział doktor Santini.

– Witam. – Próbowwała się uśmiechnąć.

Nic nie powiedział. Przeniósł jedynie wzrok na jej kieliszek, do połowy zjedzoną bułeczkę w ręce i puste muszle leżące na talerzu z lodem.

– Zamówiłam przystawkę – powiedziała.

– Właśnie widzę. – Zerknął na menu, po czym uniósł rękę i przywołał kelnera.

– Sałatka rzemieślnicza, bez goudy, łosoś z grilla, szparagi na parze, ciecierzycy, zero masła.

Nie raczył nawet nawiązać kontaktu wzrokowego z chłopakiem, który nie mógł mieć więcej niż osiemnaście lat.

– Ale tego nie ma w menu – wyjąkał biedaczyna.

– Wystarczy, że to zapiszesz i przekażesz szefowi kuchni. Jestem tu znany.

„Jestem tu znany”.

– Życzy pan sobie coś do picia? – zapytał chłopak. – Nasza karta win...

– Wodę.

– Jest pan na diecie? – zapytała Lark.

Coś jej mówiło, że za szybko wypila tego drinka.

Doktor Szatan wbił w nią spojrzenie martwych oczu rekina.

– Doktor Smith? Chce pani zamówić coś jeszcze czy też wystarczająco się pani najadła przed moim przyjściem?

Nie bez powodu budził powszechną niechęć. Lark się wyprostowała.

– Chętnie zjem coś jeszcze. – Odwróciła się w stronę przeżalonego kelnera. – Jaka jest twoja ulubiona pozycja w menu?

Doktor Santini westchnął.

– Um... burger? – odparł chłopak.

– Hmm. Rzeczywiście dobrze wygląda. – Tyle że był za tani. – Poproszę stek. Średnio wysmażony. Och, i wędzoną burratę. Niesamowicie to brzmi. I duży kieliszek caberneta, okej? I wiesz co? Przynieś mi jeszcze sałatkę Cezar, a co tam. – Chłopiec gorliwie notował. – Jak masz na imię? – zapytała.

– Brian.

– Dziękuję ci, Brian. – Posłała mu promienny uśmiech, a on się zaczerwienił.

– Pospiesz się, Brian – dodał doktor Santini. – To spotkanie biznesowe.

– Tak, proszę pana. To znaczy, panie doktorze. – I Brian chyłkiem się oddalił.

– Spotkanie biznesowe – powtórzyła Lark. – Czy... eee... potrzebuje pan w czymś pomocy?

– Błagam – odparł. – Nie poprosiłbym rezydentki o podanie mi serwetki, nie mówiąc o pomocy w kwestii medycznej.

Lark zamrugała. „Nie jesteś w pracy. A on nie jest twoim przełożonym” – rozbrzmiał w jej głowie głos Addie. „Nie wolno mu tobą pomiatać”.

– Co ja tu robię, doktorze Santini? Poza jedzeniem?

– Przejdę do tego w swoim czasie.

No dobrze. Przynajmniej zostanie nakarmiona, i to w dodatku dobrze. Kochany Brian przyniósł jej kieliszek wina i się zmył. Wypiła łyk i spojrzała na swojego towarzysza.

Gdyby nigdy nie otwierał ust i nie znalazby się jego charakteru, można by go uznać za bardzo przystojnego. I rzeczywiście niemal każda błogo nieświadoma pielęgniarka albo lekarka doznawała na jego widok momentu zachwytu, zanim zdążył zdeptać ich ducha. Miał gęste, faliste włosy w kolorze ciemnego blondu i niebieskie oczy. Silnie zarysowana żuchwa, kości policzkowe w stylu Cumberbatcha, ani grama tłuszczu (a usłyszawszy jego zamówienie, Lark rozumiała dlaczego). Miał bezkompromisową sylwetkę kolarza z Tour de France – wysoki, szczupły i twardy jak... jak skalpel. Tak. Doskonałe porównanie. Gotowa była się założyć, że codziennie przebiega dziesięć kilometrów. Przynajmniej.

– Słyszałem, że podziękowano pani dzisiaj na onkologii – rzekł.

Lekko drgnęła i poczuła, że jej twarz oblewa rumieniec.

– Formalnie rzecz biorąc, tak. Ale liczę, że tam wrócę.

– Podobno nie była pani w stanie poradzić sobie na tym oddziale. Zbyt wrażliwa.

Szpitalna pocztą pantoflowa, szybsza niż najszybsze połączenie internetowe na ziemi. Pewnie dowiedział się o tym, jeszcze zanim ona zadzwoniła do Addie. Ale dlaczego się tym przejął?

– Doktorze Santini, poprosił mnie pan... cóż, kazał mi się tu dzisiaj zjawić. Jestem pańskim gościem. Proszę mnie nie obrażać.

– Powiedziano mi, że ma pani problemy z umierającymi pacjentami. W takim przypadku onkologia to dziwny wybór. Nie jestem pewny, czy SOR okaże się lepszy.

– Dzięki za pańską opinię.

Pojawiły się sałatki, jego wyglądająca na pożywną, jej polana pysznym czosnkowym dressingiem i posypana maślanymi grzankami. Wzięła kęs i cicho jęknęła.

– Ale wspaniałe – powiedziała z ustami pełnymi sałaty rzymskiej. – Dlatego właśnie tu jestem? – Czy to jakiś szpitalny wymóg, aby starsi stażem lekarze byli mentorami rezydentów? – Chciał pan doradzić mi w kwestii kariery zawodowej?

– W życiu – zachnął się. – Coś mi mówi, że za trzy lata będzie pani produkować dzieci, a nie praktykować medycynę.

– Wow. Okej. Myślę, że musi pan porozmawiać z położnikiem. Dzieci się nie produkuje. – Ten lekki rausz był naprawdę... pomocny. – A tak w ogóle to jak ma pan na imię? Skoro już jemy wspólnie tę wyśmienitą kolację?

Doktor Szatan rozważał przez chwilę pytanie Lark, jakby się zastanawiał, czy zasługuje ona na odpowiedź.

– Lorenzo – powiedział w końcu.

– Och, ładnie. Proszę przekazać mamie, że się postarała. – Milczał, żuł jedynie zieleninę. – Ja mam na imię Lark – dodała. – Larkby, ale wszyscy mówią na mnie Lark, z wyjątkiem mojej siostry bliźniaczki. Jednojałowej. – Ludzie uwielbiali bliźnięta. On nawet tego nie skomentował. – Ma pan rodzeństwo, Lorenzo?

Powieka mu drgnęła. Pewnie nie lubił, kiedy zwracano się do niego inaczej niż Boże.

– Tak. Mam brata i dwie siostry – odparł po zbyt długiej chwili.

– Ja brata i trzy siostry – oświadczyła. – Najstarsza jest Harlow; potem Addie, czyli Addison; cztery minuty później ja; potem Winnie, której prawdziwe imię to Windsor;

no i nasz najmłodszy brat, Robbie. Robert. Imię dostał po dziadku. A Addie ma żonę Nicole i dwie córeczki, Esme i Imogen. Och, a Harlow... zresztą nieważne. To historia na inny raz.

– Czy wykazałem zainteresowanie pani rodziną?

– Nie, ale ktoś musiał wypełnić ciszę.

– Dlaczego?

Śluzna uwaga. Wypiła kolejny łyk wina i wróciła do delektowania się wyśmienitą sałatką Cezar. Kelner przyniósł burratę i och, okazała się taka kremowa, taka pyszna.

– Chce pan kawałek? – zapytała.

Odpowiedź Lorenza Santiniego kryła się w widocznej w jego oczach pogardzie. Napił się wody. Zabębnił palcami w stół.

Dopiero po tym, jak jego zdrowy posiłek i jej cholesterolowa uczta znalazły się przed nimi, a Brian po raz kolejny czmychnął, doktor Szatan przemówił:

– Szukam kogoś, kto wykona dla mnie pewną pracę. Niezwiązaną z medycyną.

– Rozumiem. O co chodzi?

Wziął kęs łososia i nie patrząc na nią, dokładnie go pogryzł. Jeśli tak właśnie wyglądało randkowanie, Lark się cieszyła, że nie traci na nie czasu.

– Doktorze Santini? Potrzebny panu nowy dach? Kierowca? Gosposia?

Nadal bez odpowiedzi.

– Muszę zgadywać? – Odkroiła kawałek mięsa i włożyła go do ust. – O mój Boże! To najlepszy stek, jaki w życiu jadłam.

Jej towarzysz wziął jeszcze kilka równych, smętnych kawałków ryby. A potem odłożył sztucce.

– Jak państwu smakuje? – zapytał Brian, podchodząc do stolika.

– Idź sobie – rzucił doktor Santini.

– Wszystko jest przepyszne – odezwała się Lark. – Dziękujemy, Brian.

Chłopak posłał jej współczujące spojrzenie, po czym spełnił życzenie doktora Santiniego. Znowu zapadła cisza. Ale Lark już ona nie przeszkadzała, ponieważ jedzenie było takie dobre. I wino! Jak aksamit.

Po nieskończeniu długim czasie doktor Szatan – Lorenzo – nabrał powietrza, wstrzymał je, po czym wypuścił.

– To delikatna sytuacja – powiedział. – Dotyczy mojej rodziny.

Czekała na więcej. Więcej się nie pojawiło.

– Czy ktoś potrzebuje jakiegoś organu? – zapytała nagle. – Może przeszczepu szpiku? – Nachyliła się zatroskana. – Sprawdził pan w szpitalu moją grupę krwi? – Miało to sens. Była idealną dawczynią, więc zaprosił ją na kolację, aby poprosić o zgodę. A ona jej udzieli. Odda swój szpik, nie ma nawet o czym mówić. Ratowanie życia to przecież jej życiowa misja. – Wchodzę w to. Od razu.

– Proszę się uspokoić, doktor Smith. Nie chodzi o nic takiego. – Spojrzał w punkt nad jej głową. – Moja siostra w Święto Pracy wychodzi za mąż. Nasza babcia ma dziewięćdziesiąt dziewięć lat i jest w kiepskim stanie.

– Mam nadzieję, że doczeka tego ślubu. – Nic nie powiedział. – A jaki ma to związek ze mną?

Aby tolerować jej pytania, doktor Santini wziął kolejny kontrolowany oddech.

– Moją babcię i mnie łączy bliska relacja. Niedawno mi powiedziała, że... – Urwał. – Nieważne.

– Proszę to z siebie wyrzucić. Zerwać plaster.

Wino okazało się takie dobre, że pewnie będzie musiała wrócić do domu uberem. Do tego ten stek był taki delikatny, że dałoby się go ciąć łyżką. W sensie filozoficznym pragnęła być wegetarianką, ale taką, która raz na jakiś czas je stek. I cheeseburgery. I bekon. Ale poza tym żadnego mięsa. Tak było lepiej dla planety.

– Martwi się, że nigdy się nie ożenię ani nie będę miał dzieci.

– No jasne. Dziadkowie tacy już są. Mój dziadek chciał mnie wyswatać z wnukiem swojej dziewczyny.

Wbił w nią spojrzenie.

– Chciałbym... chciałbym ją uspokoić, że ze mną wszystko w porządku. Że nie jestem samotny. Ani z nikim niezwiązany.

– A jest pan samotny i z nikim niezwiązany? – zapytała.

– Nie i tak – odparł z irytacją w głosie. – Dlatego właśnie jest tu pani. Chodzi o tę część z niezwiązaniem.

Lark przestała przeżuwać.

– Może pan powtórzyć?

– Chciałbym, aby gościła pani razem ze mną na uroczystościach rodzinnych w to lato i była moją osobą towarzyszącą na ślubie mojej siostry.

Aha. Chciał, aby udawała jego dziewczynę. Jednak mając na względzie tę obecną interakcję, wołałaby już oddać szpik.

– Eee, przykro mi, wątpię, żebym się do tego nadawała.

– Oczywiście zapłacę za pani czas. – Głos miał beznamiętny.

Lark zakrztusiła się winem, po czym wytarła usta serwetką.

– A coś takiego nie jest nielegalne?

– Nie, doktor Smith, nielegalne jest płacenie za seks, a nie za pani towarzystwo.

– No tak. Więc byłabym osobą do towarzystwa? Taką amatorską?

– Na to wygląda. – Poprawił się na krześle, co było jedyną oznaką jego dyskomfortu.

– Dlaczego nie znajdzie sobie pan po prostu dziewczyny? Nie jest pan szpetny, no i świetnie zarabia.

– Nie znam żadnych kobiet, z którymi miałbym ochotę się umawiać, a nie mam czasu, aby taką znaleźć. Pani jest atrakcyjna i nie do końca głupia, więc to powinno wystarczyć.

– Nie do końca głupia. Cała się rumienię. – Odłożyła wi-delec i zamrugła. – Czyli chce mnie pan wynająć? Na lato?

– Tak.

Doktor Szatan potrzebował dziewczyny. A to dobre.

– Co bym z tego miała? – zapytała.

– Po pierwsze, pieniądze. – Zerknął na jej klatkę piersiową. – Kupiłbym pani trochę przyzwoitych ubrań.

– Czyli jestem teraz Julią Roberts?

– Słucham?

– Nie oglądał pan *Pretty Woman*?

– Nie.

Boże. Nie oglądał *Pretty Woman*.

– Proszę założyć sobie konto na Tinderze albo coś. Jestem pewna, że całkiem szybko znalazłby pan kogoś, doktorze Santini. Po co okłamywać babcię? Lepiej zrobić to naprawdę. Jestem pewna, że komuś się pan spodoba. – Hura.

– Nie znalazłem jeszcze kobiety, której towarzystwo cieszyłoby mnie bardziej niż samotność.

– Domyślam się, że dlatego właśnie próbuje pan kogoś wynająć, doktorze Sza... Santini.

– Proszę posłuchać. Wolę pani zapłacić, niż zwodzić jakąś kobietę. Jestem przekonany, że doskonale zdaje sobie pani sprawę z tego, że w prawdziwym życiu nie umawiałbym się z panią, nie będzie więc żadnych zranionych uczuć.

Lark odrzuciła głowę i się zaśmiała. Szczerze mówiąc, po takim dniu było to cudowne uczucie.

– Ależ pan jest uroczy – oświadczyła. – Cóż, to naprawdę wyjątkowa propozycja, ale muszę odmówić. Brian? Możemy prosić o kartę z deserami?

Brian trzymał menu akurat w ręce.

– Nie mogę uwierzyć, że po tak wielkim posiłku chce pani jeszcze deser – rzekł doktor Szatan. – Dosłownie słyszę, jak twardnieją pani tętnice.

– Chciałam jedynie podbić rachunek. Dzięki, Brian. – Zerknęła na menu. – Poproszę tort czekoladowy. I jeszcze cappuccino.

– Oczywiście. A pan?

– Dla mnie nic – odparł, nie odrywając spojrzenia od Lark.

– W takim razie zaraz wracam – powiedział kelner.

Patrząc na doktora Santiniego, Lark przechyliła głowę. Całe mnóstwo kobiet umawiało się z dupkami, zwłaszcza z tymi zamożnymi. Wiedziała (dzięki szpitalnej pocztce pantofowej, a jakże), że jest właścicielem dwóch nieruchomości: tutaj na Cape i w Bostonie. Mając na względzie rynek nieruchomości, oznaczało to, że jest nadziany. Kobiety na pewno się nim interesowały, a mężczyzna ma przecież swoje potrzeby, prawda? Ale może był amatorem dmuchanych lalek. Albo aseksualny. Coś takiego wydawało się bardziej prawdopodobne.

Jednak myśl, że pragnął sprawić radość swojej babci...
była w sumie urocza.

Wrócił Brian z ciastem i kawą.

– Dzięki, Brian. Wszystko było przepyszne.

– Cieszę się bardzo – odparł i ponownie się zaczerwienił.

– Za dziesięć minut przynieś rachunek – rzucił do niego doktor Szatan. – Ani wcześniej, ani później.

– Tak, proszę pana.

– Przepraszam za to, że jest taki opryskliwy! – zawołała Lark, kiedy kelner oddalił się niemal biegiem.

– Nie zapytała pani, ile jej zapłacę – powiedział doktor Santini.

– To nie ma znaczenia. Nie jestem zainteresowana.

– Jestem pewny, że ma pani duży dług studencki.

– Jestem lekarką. Oczywiście, że go mam. Ale nie puszcza-
mam się, aby mieć na kolejne raty. – Uśmiechnęła się i wy-
piła łyk kawy. – Tak dla zasady.

– Nie byłoby mowy o puszczaniu się. Jedynie towarzy-
szenie podczas kilku spotkań rodzinnych i oczywiście ślubu.
Wszystkie będą się odbywały w bardzo przyjemnych lokali-
zacjach z dobrym jedzeniem. Moją rodzinę cechują wysokie
standardy kulinarne, a pani uwielbia przecież jeść.

Może to przez alkohol, ale zaczynało się robić całkiem za-
bawnie.

– No dobrze. Jaka jest pańska oferta?

– Dziesięć tysięcy dolarów.

Zakrztusiła się.

– Amerykańskich dolarów?

– Tak. Ale nie mogłaby pani powiedzieć nikomu o na-
szym układzie.

– Och. Dlaczego? – Byłoby to znacznie trudniejsze niż wybranie się na kilka przyjęć.

– Ponieważ świat jest mały. Moja siostra pracuje jako pielęgniarka w South Shore Medical Center. Pielęgniarki plotkują.

– Lekarze także, Lorenzo. Z doświadczenia wiem, że jeszcze więcej.

Drgnęła mu lewa powieka. Lark ukroiła sobie kęs czekoladowego tortu. Jako że Addie miała kasę, poprosi ją, aby zabrała ją tutaj w ich urodziny.

– A dziesięć tysięcy, choć to przyjemna kwota, nie wystarczy, aby przez całe lato bawić się w aktorkę, zwłaszcza w pracy. Mój dług wynosi ćwierć miliona dolarów. Ale jestem przekonana, że znajdzie pan kogoś, kto przystanie na pańską propozycję.

Westchnął.

– W takim razie dwadzieścia pięć.

Jej widelczyk brzęknął o talerz.

– W mordę jeża. Mówi pan poważnie? – Dziesięć procent długu studenckiego spłacone ot tak?

– Tak.

Wow. Mnóstwo kasy. Ale nie tak chciała spłacać kredyt. Nie było to honorowe. Pragnęła być onkolożką, uwielbianą, poświęcającą się swojej pracy i pewnie, że dobrze zarabiającą.

– Przykro mi, doktorze Santini. To, eee, bardzo miłe, że pomyślał pan o mnie, ale nie. To nie w moim stylu.

Zawahał się, wpatrując się w ten fascynujący punkt nad jej głową.

– Mógłbym sprawić, że wróciłaby pani na onkologię. W Hyannis albo gdzieś w Bostonie.

Lark zamrugała kilka razy.

– Jak... jak mógłby pan to zrobić?

Wzruszył ramionami.

– Jestem bardzo wpływowy. Studiowałem na Uniwersytecie Johns Hopkinsa z dyrektorem Dana-Farber. Z tego, co słyszałem, pani nie jest głupia, a jedynie żenująco uczuciowa. – Zerknął na zegarek. – Dwadzieścia pięć tysięcy, a do tego przedstawię panią odpowiednim osobom, reszta zaś będzie zależeć od pani.

– A jeśli uważa mnie pan za idiotkę? Czymś nieetycznym byłoby rekomendowanie mnie tam, gdzie według pana sobie nie poradzę.

– Powiedziałem, że panią przedstawię, a nie, że zarekomenduję.

No ale to tak, jakby Bill Gates powiedział: „To jest ten młody programista, którego chcę, żebyście poznali”. Oczywiście musiałyby sama dowieźć to do końca, wyłącznie dzięki własnym umiejętnościom. Ale dałaby radę.

– Nie uważa pan, że byłoby to nieetyczne?

– Nie. Nie zrobiłbym niczego, co naruszałoby moje etyczne standardy.

– Jak na przykład poproszenie młodszej stażem lekarki, która pracuje w szpitalu, gdzie jest pan bogiem, o udawanie pańskiej dziewczyny?

Spojrzał na nią gniewnie.

– Wie pani co? Cofam tę propozycję. Sądziłem, że zwyczajny na dzisiejsze zawodowe upokorzenie, może być pani zainteresowana czymś, co jest zupełnie nieromantycznym układem biznesowym. Proszę zapomnieć, że zaproponowałem coś takiego.

– Zaraz. Chwileczkę. – Nabrała widelczykiem kęs tortu i gryząc go, nie spuszczała wzroku ze swojego towarzysza. – Czego mi pan nie mówi?

Ponieważ czegoś na pewno. Bycie singlem nie było aż tak okropne, że trzeba wynajmować partnerkę. Odnosiła wręcz wrażenie, że Lorenzo Santini lubi być singlem. W końcu Jezus nigdy się nie umawiał na randki.

Poprawił się na krześle. Starannie złożył swoją serwetkę.

– Moja babcia dwa tygodnie temu trafiła do hospicjum. Nie chcę, aby umarła, martwiąc się, że jestem zbyt... samotny.

O nie. Te dwa słowa miały wielką moc. Hospicjum i samotny. Sama zbyt dobrze wiedziała, jak to jest.

Doktor Szatan miał piętę Achillesową, którą była chora staruszka. Oczy zapiekły ją od łez. Gdyby dziadek umierał – błagam, Boże, nigdy – i powiedział Lark, że jedyne, czego pragnie, to aby miała partnera, to czy nie zrobiłaby tego samego, co Lorenzo? Po to, aby przez miesiąc czy dwa jego dusza miała spokój?

I bądźmy szczerzy. Nie zaszkodziłoby, gdyby doktor Santini przedstawił ją odpowiednim osobom. Gdyby nie udało jej się wrócić do onkologii na Cape, miałyby przynajmniej szansę na to, aby spróbować w Bostonie. Przecież nie bez powodu wybrała taką akurat specjalizację.

Poza tym kilka imprez tego lata w ładnych miejscach i w ładnych strojach... Jej życie poza szpitalem i rodziną właściwie nie istniało. Może choć na chwilę pozwoliliby to zapomnieć o tej ziejącej pustce, jaką nosiła w sobie.

– Zrobię to. Bez pieniędzy. Może z przedstawieniem. Zobaczymy. Ale nie umiem być twarda, kiedy w grę wchodzi dziadkowie.

Widać było, jak nieco ustępuje napięcie w jego ramionach.

– W tym właśnie momencie mówi pan „dziękuję” – dodała.

– Dziękuję.

– Czyli kilka rodzinnych imprez, ślub, a potem się rozstaniemy.

– Tak. A jeśli babcia umrze wcześniej, pani usługi nie będą już potrzebne.

Niemal zaczęła się zastanawiać, czy tak właśnie by wolał. Wyciągnęła rękę.

– Gratulacje, doktorze Szatanie, ma pan dziewczynę.

Nawet okiem nie mrugnął. Pewnie doskonale wiedział, jaką ma ksywę.

– Nie chcę dziewczyny. Proszę mi po prostu towarzyszyć i być miłą. – Zerknął na zegarek i wyjął portfel, a z niego kartę Amex Black. – Możemy już skończyć na dzisiaj?